

DENISE HUNTER

*Kochaj
i piśz*



d



*Kochaj
i pisz*



DENISE
HUNTER

Tłumaczył *Mateusz Regucki*

Tytuł oryginału:
A Novel Proposal

Autor:
Denise Hunter

Tłumaczenie z języka angielskiego:
Mateusz Regucki

Redakcja:
Natalia Chrobak-Lechoszest

Korekta:
Dominika Wilk
Brygida Grzesik

Skład i opracowanie graficzne:
Anna Brodziak

Projekt okładki: © Faceout Studio, Jeff Miller, © Thomas Nelson, HarperCollins
Christian Publishing Inc.
Zdjęcia na okładce: © Shutterstock
Wektory: freepik / Freepik.com

ISBN 978-83-66977-73-0

© 2023 by Denise Hunter by Thomas Nelson, HarperCollins Christian Publishing Inc.
© 2023 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak
ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-016 Rzeszów
www.dreamswydawnictwo.pl

Rzeszów 2023, wydanie I

Druk: Drukarnia Normex

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

Rozdział 1

„Rozpocznij swój romans od postaci, która znajduje się *in medias res* – w samym środku wydarzeń”.

O pisaniu romansów. 101 wskazówek

Pisarskie marzenia Sadie Goodwin zderzyły się z nieprzekraczalną barierą w jej ulubionej kawiarni w SoHo. Stała się głucha na odgłosy intensywnego ruchu ulicznego i ślepa na majowe słońce, wpadające przez szybę. Stłumiła ożywione rozmowy i radosne pobrzękiwanie łyżeczki w kubku z kawą, zwracając się do swojej agentki:

– Przepraszam, co powiedziałaś?

Kąciki oczu Gillian zwięzły się w grymasie.

– Rosewood House rozwiązuje z tobą kontrakt.

– Ale... – Język Sadie stanął kołkiem na dłuższą chwilę, gdy wyobraziła sobie następstwa tej sytuacji.

Koniec z książkami. Tymczasem ona skończyła już trzeci tom i była w połowie pisania czwartego.

Koniec z opowieściami z serii Lonesome Ridge.

Nie wspominając już o bardziej życiowych sprawach, takich jak czynsz, wyposażenie mieszkania i ciasteczka czekoladowe. I jeszcze ta pokaźna zaliczka na książkę, którą już

zdążyła wydać. Szybko odsunęła na bok myślenie o pieniądzach.

– Przecież zbieram same świetne recenzje, a *Zachód słońca w Lonesome Ridge* dostał się do finału.

– Te rzeczy są bez znaczenia. Liczy się jedynie sprzedaż – a w twoim przypadku jest niska.

Gillian nigdy nie należała do ludzi, którzy łagodzą cios, ale bez przesady. To było poniżej pasa.

– Ale ta seria liczy cztery tomy...

– Wiem, jak bardzo kochasz tych bohaterów. Ta seria jest niezwykła – naprawdę. Wiedziałam to od chwili, gdy przeczytałam pierwszy tom. Ale twoje powieści nie sprzedają się zbyt dobrze, a wydawca chce ograniczyć straty.

Sadie zabrakło tchu. Nie mogła wrócić do pisania nekrologów. Po prostu nie mogła. To byłaby śmierć dla niej samej. (Zgadza się, słyszała już wszelkie możliwe docinki na ten temat). Owszem, miała posadę nauczycielki sztuki w podstawówce, ale ledwo wiązała koniec z końcem. Musiała dzielić małe mieszkanie w Queens ze współlokatorką, aby zmniejszyć swoje wydatki.

A jej scheda po rodzinie?

– Wiem, że czujesz się zawiedziona.

To za mało powiedziane. Rodzina i przyjaciele byli z niej tacy dumni, szczególnie krewni ze strony ojca. Dla nich była gwiazdą, wyrosłą na glebie literackiej kariery jej dziadka. Może ona sama nie do końca postrzegała się w ten sposób, ale wydawało jej się, że czeka ją dobrze rozwijająca się kariera, stały dochód... W skrócie to, o czym marzyła. Teraz wspomniana gwiazda miała przemknąć po niebie, dążąc do zderzenia z ziemią.

Musiała zmienić priorytety. Musiało istnieć coś, w czym byłaby dobra.

– Dasz radę sprzedać pozostałe tomy innemu wydawcy?

– Wiesz, że odrzucili je już wszyscy inni. Westerny trudno wprowadzić na rynek. Rosewood myślała, że wnuczka Rexa Goodwina mogła dać sobie z tym radę. Poza tym tak bardzo lubili twój styl, że byli gotowi podjąć ryzyko, ale się nie opłaciło.

Sadie podejrzewała, że wydawcy, a szczególnie ludzie od marketingu, najbardziej cenili jej pokrewieństwo z Rexem Goodwinem. Upiła niewielki łyk kawy, zbierając się na odwagę, aby zadać pytanie o zapłatę. Przecież czytała kontrakt. Co prawda trzy lata temu, i nie mając do końca obiektywnego osądu, zachwycała się każdym zdaniem. Ale może się nad nią zlitują. Nie zrobiła przecież niczego złego.

Ciężko przełknęła ślinę.

– A co z zaliczką?

– Niestety, ale będziesz musiała ją zwrócić.

Sadie mocno zacisnęła powieki. Oprócz bycia urażoną, poczuła się jeszcze znieważona. Jej seria miała nie być kontynuowana, a czytelnicy (wszystkich dwunastu, jak jej się zdawało) – mieli nigdy nie poznać zakończenia historii *Lonesome Ridge*. A teraz nie dowierzała własnym uszom. Była zadłużona. Zaliczka wynosiła dziesięć tysięcy za tom.

– Ale nie za ten ostatni tom, bo chyba się zwróciła...?

– Obawiam się, że nie.

Dwadzieścia tysięcy dolarów. Konkretna sumka.

Sadie podrapała się po karku, na który wystąpił już pot. Wyobraziła sobie wyciąg z konta bankowego ze stanem 311 dolarów.

– Nie mam takiej kwoty, Gillian.
Jej agentka poklepała ją po dłoni.
– Wiem, że to cię przerasta. Ale dobre wieści są takie, że zaoferowali coś, co wydaje się jednocześnie dobrą ofertą i wspaniałym rozwiązaniem problemu.
– No dobrze... – Na tym etapie zgodziłaby się na wszystko. Co miała do stracenia?
– Wiesz, że Erin i cały zespół uwielbiają twój styl. Przekazujesz w swoich historiach taką głębię emocjonalną. Twoi bohaterowie są autentyczni i dopracowani w najdrobniejszych szczegółach, a zwroty akcji po prostu zwalają z nóg. Naprawdę, masz do tego dar.
Tylko czemu poczuła się jak świnia prowadzona na rzeź?
– Chociaż zespół nie był zachwycony wynikami sprzedaży twojej książki, są otwarci na to, aby przeczytać jeszcze coś twojego autorstwa.
Żołądek poszybował jej do gardła niczym balon wypełniony helem.
– Och! To wspaniała wiadomość! Fajnie, że o tym mówisz, bo od paru miesięcy dojrzywał mi w głowie pomysł na kolejną serię – odparła. – Jest tam bohater w stylu desperado, który pojawia się w mieście, gdzie są kopalnie złota i banki...
Gillian pokręciła głową.
– Nie, dziecinko. W żadnym razie nie zgodzą się na kolejny western. Zastanawiali się, czy byłabyś otwarta na... delikatną zmianę gatunku.
Nie mogła sobie wyobrazić, czego mogliby chcieć. Ale myśl o zwrocie wypłaconej zaliczki uwierała ją w szyję niczym pętla.

– Och. Tak, oczywiście, pewnie. Może jakaś tajemnica? Mogłabym zmienić trochę fabułę, przesunąć akcję o sto lat – istniało już wtedy takie budowanie napięcia, więc...
– Nie, Sadie. Chyba chodzi im nie tyle o zmianę, co o... pewien zwrot. Ale wiem, że podołasz temu wyzwaniu. Wierzę w ciebie, w tej kwestii nic się nie zmieniło.
Miło było to usłyszeć. Sadie uśmiechnęła się, próbując przywołać swoją znajomą, pogodną twarz.
– Dobrze, dzięki. Zamieniam się w słuch. Co takiego miałabym dla nich napisać?
– Życzyliby sobie... – Gillian wykonała ruch ręką, jakby chcąc powiedzieć *voilà*. – ...romansu.
Sadie zamrugała, po czym otworzyła usta, by po chwili je zamknąć.
– Romans.
– On spotyka ją, potem zawraca jej w głowie, następnie ją traci, a później odzyskuje... Wiesz, tego typu rzeczy.
Tak, wiedziała, czym jest romans. Tyle tylko, że...
– Wierzmy, że mogłabyś wnieść coś nowego do gatunku dzięki twojej kreatywności i głębokiej emocjonalności. Poza tym, Sadie, romanse dobrze się sprzedają. Oferowany jest kontrakt na jedną książkę, wygasający z dniem pierwszego września. Wiem, że to mało czasu, ale to również szansa, żebyś odkuła się finansowo w związku z tamtą zaliczką. Wyszłabyś na zero, a resztę załatwiłyby tantiemy, jestem tego pewna. I nie mam żadnych wątpliwości, że potrafisz pisać romanse, których będą się głośno dopominać czytelnicy.
Sadie brakowało takiej pewności. Na litość boską, ona w życiu nie przeczytała ani jednego romansu, chyba że zaliczyć do nich *El Paso*. Żadna z jej książek o Lonesome Ridge

nawet nie stała obok literatury romantycznej – o czym czytelnicy wspomnieli, zdaje się, w recenzjach, nawet nie raz, a dwa razy.

Romans. Jej umysł wytworzył obrazek jak ze snu, przedstawiający parę biegnącą ku sobie pośród ukwieconych pól, z szeroko rozpostartymi ramionami i włosami niedbale ułożonymi przez wiatr. Oczami wyobraźni zobaczyła też okładkę książki – mężczyzna z nagim torsem i skromnie odziana kobieta, uwiecznieni w pełnej nastroju chwili poprzedzającej pocałunek.

Poczuła gorąco na twarzy. Nie była osobą, która pisze takie powieści. Ani nawet je czyta. W ogóle miała kiepskie wzorce w dziedzinie miłości. Jej rodzice, choć wciąż trzymali się razem, często miewali różnice zdań. Miała najlepsze warunki do obserwacji ich przypominającej huśtawkę relacji, ale nie było to szczególnie inspirujące.

Takie właśnie były ważne przyczyny, dla których Sadie nie była zainteresowana pisaniem romansów. Żadna z nich nie była jednak tak skuteczna, jak ta jedna: będąc w zaawansowanym wieku dwudziestu sześciu i pół roku, Sadie Goodwin nigdy nie była zakochana.

Sadie zauważyła swoją najlepszą przyjaciółkę po drugiej stronie parku, prowadzącą na smyczy cztery psy. Brązowe włosy Caroline powiewały na wietrze, a gdy Sadie podeszła bliżej, uświadomiła sobie, że to właśnie jej wizerunek wkomponowała w tamtą ulotną scenę, która przysłała jej do głowy wcześniej. I nic dziwnego. Caroline stanowiła wręcz podręcznikowy przykład bohaterki romansu: piękna, inteligentna i sympatyczna. Krótko mówiąc, magnes na facetów.

Sadie poznała Caroline na pierwszym roku Uniwersytetu Pace i od razu odnalazła z nią wspólny język. Caroline urodziła się i wychowała w Nowym Jorku, zaś Sadie zawsze marzyła o życiu tam.

Po obronie dyplomu wynajęły mieszkanie w Queens. Sadie dostała posadę w szkole podstawowej w okolicy, z kolei Caroline prowadziła kawiarenkę na zbiegu ulic. To właśnie tam spotkała miłość swojego życia, Carlosa, za którego wyszła rok temu, mniej więcej w tym samym czasie, gdy zaczęła zawodowo wyprowadzać psy na spacer.

– Milo, przestań! – Caroline ściągnęła smycz. – Nie możesz zjeść obroży Skarbenka. To nieładnie, a poza tym jest niesmaczna. Idź się załatwić, Finn. Wiem, że jeszcze tego... – Jej oczy zalśniły, gdy dostrzegła Sadie. – Och, cześć, widzę, że skończyłaś. Jak poszło z agentką? To, co napisałaś, było mało szczegółowe.

Miała czas, aby o tym myśleć przez całą drogę z Manhattanu, i nie było sensu, aby owijać w bawełnę.

– Zerwą ze mną kontrakt i będę musiała oddać zaliczkę.

– Nie! – Caroline objęła ją tak, że ich kurtki i szaliki, a także cztery psy na smyczach uległy sprasowaniu. – Kochana, przepraszam, ale nie rozumiem. Twoje powieści są takie dobre, masz świetne recenzje w sieci, wygrałaś tamten konkurs i w ogóle. Postradali rozum, jeśli nie chcą cię dalej wydawać.

Sadie poczekała, aż duży samolot pasażerski przeleci im nad głowami, zanim odezwała się znowu.

– To wszystko jest chyba bez znaczenia.

Caroline zrobiła krok do tyłu, szeroko otwierając swoje zielone oczy.

– Wiesz co? Mogłabyś wydać pozostałą część serii na własną rękę. Za uzyskane przychody spłaciłabyś zaliczkę.

– Jeżeli plany marketingowe Rosewood nie były w stanie sprzedać mojej książki szerszemu gronu odbiorców, to wątpię, czy wrzucenie jej na Amazona dokona cudu. Mimo to zaferowali mi nowy kontrakt – książkę, której gatunek leży zupełnie poza moją strefą komfortu. Nie mogę się w to nawet wczuć. To śmieszne, ale chcę, żebym napisała im r o m a n s.

Jamnik owinął się dookoła nogi Sadie, zaś duży czarny pudel zapragnął nawiązać z nią bliższą relację.

– Skarbenku, nie!

– Oj, obawiam się, że tak.

– Nie, Skarbeniek to imię psa.

Caroline skróciła smycz, odciągając pudła od Sadie.

– Przejdziemy się? Robią się niecierpliwe, a poza tym muszą stymulować układ trawienny Finna, bo... cóż, to długa historia.

Ruszyły z miejsca.

– Z pewnością dałabyś radę napisać romans, Sadie. Głęboko w ciebie wierzę.

Sadie się zachnęła.

– Jasne, tak jakbym miała bogate doświadczenie w tym zakresie.

– Cóż, ale brałaś udział w strzelaninie? Spłynęłaś w dół rwącej rzeki w becze po whiskey? Pokonałaś przestępcę, dysponując jedynie pistoletem bez nabojów i złamaną nogą? Nie? A tymczasem opisałaś to wszystko tak realistycznie, że o mało nie spadłam z krzesła. Masz prawdziwy talent, dziewczyno.

Sadie machnęła ręką.

– To co innego. To... męski świat. To tak, jak z tymi starymi westernami, które oglądałam z dziadkiem. Wszystkie one zostały mi w głowie. Ale romansu nie wyobrażę sobie w ten sposób. A to musi brać się z wnętrza.

Minęło ich dwóch dwudziestokilkuletnich mężczyzn, którzy o mało nie skręcili sobie karków, aby spojrzeć na Caroline z najlepszego kąta.

– Ależ oczywiście, że sobie wyobrazisz. Na przykład mężczyznę dającego kobiecie różę. Wzruszające rozstanie w drogiej restauracji. I jakiś odważny gest, by on mógł ją odzyskać.

Sadie wycelowała w przyjaciółkę palcem.

– Widzisz? Ty wiesz to wszystko, bo to twoje życie – powiedziała. – T w o j e, nie moje.

Caroline uchyliła się przed jej spojrzeniem.

– Może byłoby twoje, gdybyś dała jakiemuś facetowi chociaż cień szansy.

– A co, jeśli zaliczam wpadkę za wpadką? Jeżeli nie wytwarza się żadna nić porozumienia? Guzik wiem o miłości i romansach, Caro.

– Kiedyś oglądałaś ze mną *Masz wiadomość*.

– Zasnęłam wtedy.

– To był długi dzień. Słuchaj, westerny rządzą się pewnymi zasadami, tak? Milo, spokój. – Poglaskała corgiego. – Tak samo jest z romansami. Musisz jedynie przestrzegać tych zasad. Na pewno dasz radę. Bo jaki masz wybór? Musisz przecież zwrócić tamtą zaliczkę, prawda?

– Mówiłam coś o terminie na pierwszego września?

– No, w takim razie będziesz miała całe lato, aby to napisać. Trzy miesiące to dość czasu, nie? *Lonesome Ridge* skończyłaś w dziewięćdziesiąt dni.

– To było co innego. Wiem, jak poprowadzić western. Przeczytałam ich miliony.

– Po prostu weź samca alfa, zetknij go z przypadkowo poznaną ślicznotką i zakończ to w stylu „i żyli długo i szczęśliwie”. Dasz radę.

– W ogóle nie rozumiem, co do mnie powiedziałaś.

– Zaczynaj czytać romanse – znam wszystkie tytuły z górnej półki. Bądź grzeczny, Milo! Pooglądaj komedie romantyczne. Zanim skończy się rok szkolny, ty będziesz gotowa, aby zacząć.

Mogłoby się wydawać, że zarówno Gillian, jak i Caroline wierzyły, że da sobie z tym radę. Być może tak było. Musiała jedynie poznać ten gatunek i trzymać się zasad jego pisania, czyż nie? Niekoniecznie miała k o c h a ć to, co robiła, a jedynie to z r o b i ć.

Nad ich głowami z hukiem przeleciał odrzutowiec, przywodząc jej na myśl własne głośne mieszkanie, o rzut kamieniem od LaGuardii, z cienkimi ścianami i jeszcze cieńszymi oknami. Nie wspominając już o budowie, która ciągnęła się tuż obok, chyba jeszcze od czasów wojny o niepodległość.

– Robiąc to, bardzo chciałabym mieć spokój. Wiesz, jak łatwo się rozpraszam.

Caroline spojrzała ukradkiem na inny samolot, odlatujący w nieznanym kierunku. Następnie przeniosła wzrok na Sadie, otwierając szeroko oczy.

– Właśnie przyszło mi do głowy najlepsze rozwiązanie. A gdybyś tak dostała kącik do pisania, taki cichy, bez czegokolwiek, co by cię rozpraszało? Zero ludzi. Zero samolotów i placów budowy. Tylko ty, twój laptop i słoneczna plaża.

– Znasz jakieś oferty najmu krótkoterminowego, o których ja nie wiem?

– Ja nie, ale moja mama – owszem. Może to nie najem krótkoterminowy, ale pamiętasz ten domek na plaży w Karolinie Południowej, który kupiła zeszłego lata?

– Nie korzysta z niego?

– Tylko przez kilka tygodni w zimie, marzy o emeryturze. To bliźniak, więc wynajmuje jedną połowę, w zasadzie odpłacając tym hipotekę, tak że nie musi dzielić się częścią, w której sama mieszka. Sprytne, co?

– Nie będę w stanie sobie na to pozwolić, Caro. W tej chwili ledwo wiążę koniec z końcem.

– Proszę cię, mówisz, jakby mama miała brać od ciebie pieniądze. Dopiero co powiedziała, że nie może znieść myśli o tym, że jej dom stoi pusty. To byłoby wspaniałe! Pomyśl tylko, nic poza morską bryzą i słońcem. Tak jest, Finn, kochany, idź się załatwić. – Pies poprowadził ją do pobliskiego zagajnika, gdzie zaczął węszyć dookoła.

Sadie rozważyła propozycję przyjaciółki. Być może dałaby radę napisać tę powieść do końca lata, gdyby skupiła się i przyłożyła do tego. Poza tym plaża, to brzmiało romantycznie, prawda? Inspiracja na wyciągnięcie ręki.

Mogłaby wykorzystać ostatnie tygodnie szkoły, aby podciągnąć się w temacie powieści romantycznych. A później, gdy nauka dobiegłaby końca, pojechałaby do słonecznej Karoliny Południowej i zabrałaby się do pisania tej książki.

Po niebie przeleciał kolejny jumbo jet, którego spiorunowała wzrokiem. Jej współlokatorka obiecała, że przez pewien czas w ogóle ich nie usłyszy. Kłamczucha. Poza tym nie zająknęła się nawet o budowie. Przynajmniej Julie zachowywała

się cicho – o ile była w domu. Z mozołem zmierzała w kierunku uzyskania dyplomu magistra w dzień, po czym do późna pracowała w popularnej knajpie ze stekami.

– Dobry piesek, Finn. Mamusia będzie z ciebie zadowolona. – Caroline przyciągnęła szpaler psów w kierunku Sadie, gdy zbliżały się do ulicy. – To co o tym myślisz?

– Myślę, że jakimś szalonym zrzędzeniem losu twoja mama pozwoli mi ulokować się w domku na plaży na całe lato. Musiałabym oszaleć, aby z tego zrezygnować.

Caroline się rozpromieniła.

– To świetnie! Zatem do dzieła.

– Hm, a może chciałabyś omówić to najpierw ze swoją mamą?

Caroline wyjęła telefon spomiędzy kilku smyczy.

– Załatwione. Właśnie przesyła ci informacje.

Smartfon Sadie zabzyczał, więc spojrzała na ekran i przewinęła wiadomość od pani Miller.

– Ona naprawdę się zgodziła.

Caroline przełożyła smycze do jednej ręki, a drugą objęła Sadie na pożegnanie.

– Teraz, moja droga, czeka cię podróż na Tucker Island, gdzie stworzysz wspaniałą romans. A ja nie mogę się już doczekać, kiedy go przeczytam.

Rozdział 2

„Uroczym spotkankiem to urzekające zetknięcie się ze sobą dwojga bohaterów, prowadzące do rozwoju miłosnej relacji”.

O pisaniu romansów. 101 wskazówek

Ostatnie oznaki zmęczenia wywołanego podróżą zniknęły u Sadie w okamgnieniu, gdy uświadomiła sobie, co czekało ją tego lata. Zaparkowała na podjeździe po prawej stronie niebieskiej posiadłości na plaży. Piętrowy domek wznosił się na piaszczystej wydmie, a jego białe okiennice i dachówki przepięknie kontrastowały z niebieskofioletowym sidingiem. Dom posiadał dwie małe werandy i dwie frontowych drzwi, śnieżnobiałych i bez szyb.

– Jesteśmy na miejscu, Rio. Och, naprawdę jesteśmy.

Wyłączyła silnik i wyszła z samochodu, nabierając w płucach przesyconego solą powietrza. Ciepły powiew uniósł kilka kosmyków jej włosów, które wymknęły się z kucyka po dwunastogodzinnej jeździe. Nad głowami przeleciały im dwie mewy, głośno obwieszczając ich przybycie.

– Dzięki, ptaszki.

Spojrzała znów na dom, nie będąc w stanie powstrzymać swojego rozszerzającego się uśmiechu.